

PETER MAY

# JEZIORO TAJEMNIC

Nieufni, zamknięci w sobie mieszkańcy szkockiej wyspy,  
ich tajemnice i zbrodnie...

## PROLOG

Siedzi przy biurku, pobladły ze strachu i świadomości, że musi wykonać krok, którego nie da się cofnąć. Tak jak czasu i śmierci.

Pióro drży mu w dłoni, gdy zaczyna pisać.

• • •

Prześladuje mnie to już od pewnego czasu. Wiem, że większość ludzi nie zrozumie dlaczego, zwłaszcza ci, którzy mnie kochają i których ja kocham. Mogę powiedzieć tylko tyle, że nikt nie uświadamia sobie, w jakim żyję piekle, a ostatnie tygodnie stały się po prostu nie do zniesienia. Czas, bym odszedł. Tak mi przykro.

• • •

Podpisuje się. Zamaszyście jak zwykle. Nieczytelnie. I składa kartkę, jakby dzięki temu słowa mogły zniknąć. Niczym koszmar senny. Niczym krok, który ma go zaprowadzić w ciemność.

Wstaje i rozgląda się po pokoju ostatni raz, zastana-

wiając się, czy znajdzie w sobie odwagę. Powinien zostawić list czy nie? Czy sprawi to jakąkolwiek różnicę? Zerkna na kartkę, która się rozłożyła i leży oparta o monitor komputera, gdzie — jak ma nadzieję — będzie widoczna. Serce wypełnia mu zrodzony z żalu ból, gdy przebiega wzrokiem splatające się litery, których nauczył się tyle lat temu, kiedy jeszcze miał przed sobą całe życie. Słodko-gorzkie wspomnienie niewinności i młodości. Zapach pyłu kredowego i ciepłego mleka w szkole.

Jakże to wszystko było bezsensowne!

# ROZDZIAŁ 1

Kiedy Fin otworzył oczy, wewnątrz pradawnego kamiennego lokum, które chroniło ich przed burzą, było zalane dziwnym różowym światłem. Dym z niemal wygasłego ognia unosił się leniwie w nieruchomym powietrzu, a Whistler zniknął.

Fin wsparł się na łokciach i zobaczył, że kamień przy wejściu jest odsunięty na bok. W dali widział różowawą mgiełkę brzasku, która zawisła nad górami. Burza przeszła. Deszcz spadł i pozostawił po sobie nienaturalny bezruch.

Obolały Fin wygramolił się spod koców i podpełzł obok ognia do miejsca, gdzie na kamieniach leżały jego rozłożone rzeczy. Wciąż miały w sobie ślad wilgoci, ale były dostatecznie suche, by dało się je nosić; położył się na plecach i wsunął nogi w spodnie, potem usiadł, żeby zapiąć koszulę i wciągnąć przez głowę sweter. Uporał się ze skarpetkami, włożył buty, ale nawet ich nie zasznurował, i wyczołgał się na zbrocze.

Widok, który go powitał, był niemal nadprzyrodzony.

Wokół wznosiły się stromo góry południowo-zachodniej części wyspy, znikając w mroku niskich chmur. Dolina w dole wydawała się szersza niż w nocy w świetle błyskawicy. Gigantyczne odłamki skalne zaścielające jej dno wyrastały niczym widma z mgły, która napływała ze wschodu, gdzie wciąż niewidoczne słońce rzucało fantazyjnie czerwony blask. Wyglądało to jak świt czasu.

Sylwetka Whistlera odcinała się ostro od jasności za skupiskiem zniszczonych i kruszejących schronień zwanych ulami; stał na grani, skąd widać było dolinę; Fin, czując drżenie nóg, ruszył w jego stronę po podmokłym gruncie.

Whistler nie odwrócił się ani nie dał po sobie poznać, że jest świadomy jego obecności. Tkwił w miejscu jak posąg zastygły w czasie i przestrzeni. Fin był zszokowany wyrazem jego twarzy, która wydawała się pozbawiona wszelkiej barwy. Broda wyglądała jak czarno-srebrna farba nałożona niedbale na białe płótno. Ciemne i nieprzeniknione oczy kryły się w cieniu.

— O co chodzi, Whistler?

Whistler uparcie milczał, Fin obrócił więc głowę, żeby zobaczyć to, na co tamten patrzył w takim skupieniu. W pierwszej chwili widok przyprawił go o zdumienie. Rozumiał to, co widział na własne oczy, a jednak nie miało to najmniejszego sensu. Odwrócił się i spojrzął poza ule, na skalny bezład nad ich głowami i pokryte piargiem zbocze, wznoszące się do grzbietu góry, gdzie stał poprzedniej nocy i widział błyskawicę odbijającą się w powierzchni jeziora w dole.

Potem znów skierował wzrok na dolinę. Ale nie zobaczył jeziora. Tylko wielką pustą dziurę. Jego zarys był wyraźny — tam gdzie przez niezliczone eony woda pochłaniała torf i skały. Sądząc po zagłębieniu, jaką pozostawiło w ziemi, miało długość około półtora kilometra, szerokość ośmiuset metrów i było głębokie na jakieś dwadzieścia metrów. Jego dno tworzyła maź z torfu i szlamu upstrzona wielkimi i małymi głazami. Na wschodnim krańcu niecki, gdzie dolina niknęła w porannej mgle, widać było szeroki na piętnaście metrów brązowy kanał, niczym ślad pozostawiony przez gigantycznego ślimaka.

Fin spojrzał na Whistlera.

— Co się stało z jeziorem?

Whistler tylko wzruszył ramionami i pokręcił głową.

— Zniknęło.

— Jakim cudem jezioro może zniknąć?

Przez długą chwilę Whistler, niczym człowiek pogrążony w transie, patrzył w stronę pozbawionego wody zagłębienia, aż nagle, jakby Fin odezwał się dopiero teraz, powiedział:

— Dawno temu też stało się coś takiego. Jeszcze zanim się urodziliśmy. W latach pięćdziesiątych. W Morsgail.

— Nie rozumiem. Co masz na myśli? — Fin nie krył zdumienia.

— To samo. Pewien listonosz przechodził każdego ranka obok jeziora na trasie między Morsgail i Kinlochresort. Cholerne zadupie. Loch nan Learga. Więc pewnego dnia idzie tamtędy jak zwykle i widzi, że nie ma jeziora. Jest tylko wielka dziura. Sam przechodziłem tamtędy

wielokrotnie. Zrobił się cholerny szum. Przyjeżdżali z prasy i telewizji, aż z Londynu. I te wszystkie spekulacje... no cóż, dzisiaj wydaje się to idiotyczne, ale wtedy gadali o tym w kółko w radiu i pisali w gazetach. Wszyscy twierdzili, że w jezioro uderzył meteoryt i że wyparowało.

— A w rzeczywistości?

Whistler wzruszył ramionami.

— Najbardziej prawdopodobna teoria to pęknięcie torfowiska.

— To znaczy?

Whistler wydał wargi, wciąż wlepiając wzrok w pokryte szlamem dno nieistniejącego jeziora.

— No cóż... zdarza się, kiedy długo nie ma deszczu. Nie jest to tutaj zbyt częste. — Prawie się uśmiechnął. — Torf na powierzchni schnie i pęka. I nie przepuszcza wtedy wody, o czym wie każdy, kto go wycina. — Wskazał głową miejsce, gdzie gigantyczny ślimaczy ślad ginał we mgle. — Tam jest drugie jezioro, niżej w dolinie. Gdybym miał jakiegokolwiek pieniądze, tobym się założył, że to wyższe spłynie do niższego.

— W jaki sposób?

— Większość tych jeziorzek utworzyło się na torfie pokrywającym miejscowy gnejs. Często rozdzielają je granie utworzone z czegoś mniej stabilnego, jak na przykład amfibolit. Kiedy po dłuższym okresie suszy zaczyna mocno padać, jak zeszłej nocy, deszczówka przenika przez szczeliny w torfie, tworząc na podłożu skalnym warstwę szlamu. Niewykluczone, że w tym przypadku torf między jeziorami spłynął wraz ze szlamem, a woda

pod wpływem własnego ciężaru przebiła się przez amfibolit i całe to cholerstwo zeszło w dół doliny.

Powietrze poruszyło się nieznacznie, gdy słońce drgnęło ku górze, mgła zaś uniosła się odrobinę. Dostatecznie, by odsłonić coś białego i czerwonego; spoczywało w najgłębszej części jeziora i odbijało blask słońca.

— Co to takiego? — spytał Fin, ale Whistler nie odpowiedział. — Masz lornetkę?

— W plecaku. — Głos Whistlera był ledwie słyszalny.

Fin pospieszył z powrotem do ich ula i wpełzł do środka, żeby poszukać lornetki. Kiedy znowu stanął na grani, zauważył, że Whistler w ogóle się nie poruszył. Wciąż spoglądał beznamiętnie tam, gdzie niegdyś było jezioro. Fin podniósł lornetkę do oczu i zaczął nastawiać ostrość, aż ujrzał wyraźnie czerwono-biały obiekt.

— Jezu! — usłyszał swój własny szept.

Był to mały jednosilnikowy samolot, usadowiony między skupiskiem głazów, lekko przechylony na bok. Na pierwszy rzut oka wydawał się nieuszkodzony. Szyby kokpitu pokrywało błoto i szlam, ale biel i czerwień kadłuba wyraźnie rzucały się w oczy. Podobnie jak czarne litery znaku wywoławczego.

G-RUAI.

Fin poczuł gęsią skórę na karku. RUAI, skrót od Ruairidh, po gaelicku Roderick. Znak wywoławczy, który widniał w każdej gazecie przed siedemnastu laty, kiedy zaginął ten samolot, a wraz z nim Roddy Mackenzie.

Mgła uniosła się nad górami jak dym zabarwiony jasnością brzasku. Wokół panował idealny bezruch. Cisza nie zakłócał żaden dźwięk. Nawet wołanie ptaków.



— Wiesz, czyj to samolot?

Whistler skinął głową.

— Co on tu robi, u diabła? Mówili, że leciał do Mull i zniknął gdzieś nad morzem.

Whistler wzruszył ramionami, ale się nie odezwał.

— Zejdę na dół przyjrzeć się z bliska — oznajmił Fin.

Whistler złapał go za ramię. Miał dziwny wyraz oczu. Gdyby Fin nie znał przyjaciela, powiedziała by, że to strach.

— Nie powinniśmy.

— Dlaczego?

— Bo to nie nasz interes, Fin. — Whistler westchnął przeciągle. W jego głosie słychać było rezygnację. — Myślę, że trzeba to zgłosić, ale nie powinniśmy się w to mieszać.

Fin przyjrzał mu się uważnie, ale postanowił o nic nie pytać. Wyswobodził ramię z uścisku Whistlera i powtórzył:

— Zejdę na dół przyjrzeć się z bliska. Możesz iść ze mną albo nie. — Wcisnął lornetkę w dłoń przyjaciela i ruszył w dół zbocza ku pustej niecce jeziora.

Zejscie było strome i trudne; musiał pokonywać popękane kamienie i stwardniały torf, śliski z powodu trawy przygniecionej do ziemi przez deszcz. Brzegi niegdysiejszego jeziora upstrzone były głazami i Fin ślizgał się na nich, starając się utrzymać na nogach i zachować równowagę; co chwila musiał się podpierać, żeby nie upaść. Coraz niżej i niżej, w stronę trzewi dawnego jeziora, brnąc przez błoto i muł, miejscami po kolana, między skałami, skacząc z kamienia na kamień przez rozległe zagłębienie w ziemi.

Dotarł już niemal do maszyny, kiedy się odwrócił i zobaczył, że Whistler podąża za nim w odległości kilku kroków; zatrzymał się, dysząc ciężko, i przez całą minutę obaj mężczyźni stali i na siebie patrzyli. Potem wzrok Fina powędrował ku przypominającym kontury mapy topograficznej warstwom torfu i skał — ku brzegowi jeziora sprzed dwunastu godzin. Gdyby wciąż znajdowało się na swoim miejscu, obaj tkwiliby na głębokości około piętnastu metrów pod powierzchnią wody. Odwrócił się i pokonał dystans dzielący go od samolotu.

Spoczywał tylko nieznacznie przechylony pośród chaosu głazów i kamieni na dnie jeziora; można było niemal odnieść wrażenie, że złożyła go w tym miejscu delikatna dłoń Boga. Fin słyszał, jak przyjaciel dyszy u jego boku.

— Wiesz, co jest dziwne?

— Co? — spytał Whistler, ale sprawiał wrażenie kogoś, kto nie chce tak naprawdę wiedzieć.

— Nie widzę żadnych uszkodzeń.

— Wiec?

— Gdyby samolot runął do jeziora, toby się cholernie roztrzaskał, prawda?

Whistler nie skomentował tego.

— Popatrz tylko. Nie ma prawie wgnieceń. Okna są nietknięte. Nawet przednia szyba nie pękła. — Fin pokonał kilka ostatnich głazów i wgramolił się z trudem na skrzydło. — Nie widać też rdzy. Kadłub jest wykonany chyba z aluminium.

Nie ufając śliskiej i zdradzieckiej powierzchni skrzydła, przysunął się na czworakach do drzwi kokpitu. Okno pokrywała gruba warstwa zielonego szlamu, nie sposób

było zajrzeć do środka. Chwycił za klamkę i spróbował otworzyć drzwi. Nie ustąpiły.

— Zostaw to! — zawołał z dołu Whistler.

Fin był jednak zdeterminowany.

— Wejść tu i mi pomóż.

Whistler nawet nie drgnął.

— Na litość boską, człowieku, tu jest Roddy!

— Nie chcę go oglądać. To jak zbezczeszczenie grobu.

Fin pokręcił głową i znów obrócił się w stronę drzwi, wspierając się stopami o kadłub po obu ich stronach, i zaczął z całej siły ciągnąć. Nagle ustąpiły z głośnym zgrzytem przypominającym dźwięk rozdieranego metalu, a Fin upadł plecami na skrzydło. Wnętrze kokpitu po raz pierwszy od siedemnastu lat zalał blask dnia. Fin dźwignął się na kolana i chwycił krawędzie drzwi, by się podnieść i zajrzeć do kabiny. Usłyszał, jak Whistler wspina się w ślad za nim na skrzydło, ale się nie odwrócił. Widok, który ukazał się jego oczom, był szokujący; towarzyszył mu smród gnijącej ryby.

Deska przyrządów pod przednią szybą tworzyła półkolistą masę wskaźników i tarcz, szkło było pomazane i zabłocone, tarcze zegarów straciły barwę pod wpływem działania wody i alg. Na miejscu pasażera albo drugiego pilota nikt nie siedział. Drażki przepustnicy między fotelami — czerwony, czarny i niebieski — wciąż były widoczne i zaciągnięte. Po drugiej stronie, przypięte pasami, spoczywały ludzkie szczątki. Czas, woda i bakterie pochłonęły całe ciało, a szkielet utrzymywały w jednym kawałku zbiegłe ścięgna i twarde więzadła, które w zimnej wodzie nie uległy rozkładowi. Skórzana kurtka

pilota wydawała się miejscami niemal nietknięta. Dżinsy, choć wyprane z wszelkiej barwy, też się zachowały. Tak jak adidasy, choć Fin dostrzegł, że guma nabrzmiała, powiększając buty na szczałkach stóp.

Grdyka, uszy i nos utraciły całkowicie swoje kształty; czaszka wciąż była widoczna, do resztek tkanki miękkiej przylegało kilka kosmyków.

Wszystko to było dostatecznie szokujące dla dwóch starych przyjaciół, którzy pamiętali młodego, utalentowanego, niespokojnego człowieka imieniem Roddy, z tą jego niesforeną czupryną jasnych kręconych włosów. Najbardziej jednak wstrząsnął nimi widok straszliwych obrażeń, jakim uległa prawa część twarzy i potylicy. Zniknęła połowa szczęki, odsłaniając rząd pożółkłych połamanych zębów. Kość policzkowa i górna część czaszki były całkowicie zmiżdżone.

— Jezu Chryste. — W głosie Whistlera było coś bluźnierczego.

Wystarczył moment, by objąć wzrokiem ten makabryczny widok, i Fin niemal od razu cofnął się odruchowo, uderzając głową o ramię przyjaciela. Zatrzasnął drzwi kokpitu i odwróciwszy się, usiadł wsparty o nie plecami. Whistler przykucnął; oczy miał szeroko rozwarte.

— Miałeś rację — powiedział Fin. — Nie powinniśmy tam zaglądać. — Spojrzał na koszmarnie bladą twarz przyjaciela i po raz pierwszy zauważył, że jest dziobata, zapewne po dziecięcej ospie. — Ale nie dlatego, że bezczestimy grób.

Whistler zmarszczył czoło.

— Więc dlaczego?

— Bo naruszamy miejsce przestępstwa.

Whistler wpatrywał się w niego długo, a w jego ciemnych oczach malowało się niezrozumienie. Potem zsunął się ze skrzydła i ruszył z powrotem w stronę brzegu, kierując się uparcie ku kamiennym ulom i zostawiając za sobą zagłębienie w ziemi.

— Whistler! — zawołał za nim Fin, ale wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna nie zwolnił kroku i nie obejrzał się ani razu.

## ROZDZIAŁ 2

Fin siedział w gabinecie Gunna, patrząc na sterty papierów zalegających biurko sierżanta niczym nawiany śnieg. Na zewnątrz, po Church Street, przejeżdżał od czasu do czasu samochód i nawet z tej odległości słychać było krzyk mew krążących wokół trawlerów zacumowanych w porcie. Z okna rozciągał się widok na posępne, kryte kamyczkowym tynkiem domy o spadzistych dachach; Fin wstał i podszedł bliżej, żeby zobaczyć coś więcej. Macleod & Macleod, rzeźnik, żadnego pokrewieństwa. Blythswood Care, należący do organizacji charytatywnej sklep na rogu, z odręczną wywieszką w witrynie: „Nie przyjmujemy zwrotów”. Indyjska restauracja, Bangla Spice, i Tai Café. Ludzie z dala od swoich domów.

Życie innych biegło tak, jakby nic się nie stało, jeśli jednak chodzi o Fina, to odkrycie szczątków Roddy’ego w samolocie spoczywającym na dnie jeziora przewróciło do góry nogami wszystkie jego wspomnienia, na zawsze zmieniając spojrzenie na przeszłość, na to, co było niegdyś.

— Ta teoria z torfem wydaje się słuszna. Pański przyjaciel Whistler wie, co mówi.

Fin odwrócił się, kiedy do pokoju wszedł Gunn z plikiem papierów. Twarz miał starannie wygoloną, błyszczała pod trójkąciem włosów na czole, a różowa skóra roztaczała ostrą woń wody toaletowej.

— Niewiele jest rzeczy, których Whistler by nie wiedział — zauważył Fin i zaczął się zastanawiać, co jeszcze jego przyjaciel wie. I nie chce powiedzieć.

— Faktycznie, to jezioro w Morsgail zniknęło. Były też takie dwa zjawiska na początku lat dziewięćdziesiątych na stromych północnych zboczach wysp Barra i Vartersay. Więc żaden ewenement. — Gunn rzucił papiery na biurko, dokładając je do zalegającej już tam śnieżnobiałej zasy, i westchnął. — Nie mieliśmy jednak szczęścia, jeśli chodzi o rodzinę zmarłego.

Fin nie bardzo wiedział dlaczego, ale słowo „zmarły” w odniesieniu do Roddy’ego powodowało ukłucie bólu, choć przecież ten człowiek nie żył od siedemnastu lat. Najbardziej utalentowany i odnoszący największe sukcesy celtycki gwiazdor rocka jego pokolenia, wyrwany z życia w kwiecie wieku.

— Ojciec zmarł pięć lat temu, matka przed rokiem, w domu starców w Inverness. Nie miał braci ani sióstr. Przypuszczam, że żyją gdzieś jacyś dalecy krewni, bo ktoś sprzedał jego dom w Uig. Może trochę potrwać, zanim ich znajdziemy. — Gunn przesunął dłonią po ciemnych, lśniących od brylantyny włosach, potem otarł bezwiednie rękę o nogawkę spodni. — Pański przyjaciel profesor Wilson już leci z Edynburga.

— Angus?

Gunn skinął głową. Po jedynym spotkaniu z kostycznym patologiem nie zostały mu szczęśliwe wspomnienia.

— Zechce zbadać zwłoki *in situ*, a my będziemy musieli obfotografować miejsce zdarzenia. — Potarł się w zamyśleniu po brodzie. — To trafi do wszystkich gazet, panie Macleod. Cholerni dziennikarze zlecą się jak sępy. No i całe szefostwo. Z Inverness. Nie zdziwiłbym się, gdyby pojawili się ci z samej góry. Uwielbiają stać przed kamerami i oglądać swoje nalane gęby w telewizji. — Urwał, żeby się odwrócić i zamknąć za sobą drzwi. — Proszę mi powiedzieć, dlaczego pan sądzi, że Roddy Mackenzie został zamordowany?

— Wolałbym tego nie mówić, George. Nie chcę ci niczego sugerować, dopóki wszystkiego nie obejrzysz. Myślę, że sam powinieneś wyciągnąć wnioski.

— Ma pan rację. — Gunn usiadł w fotelu i obrócił się twarzą do Fina. — Co, u diabła, robiliście obaj w górach podczas tego sztormu? Pan i Whistler?

— To długa historia, George.

Gunn uniósł ręce i splótł dłonie na karku.

— No cóż, musimy jakoś zabić czas, zanim patolog się tu zjawi... — Zawiesił znacząco głos, a Fin uświadomił sobie, że upłynęły zaledwie dwa dni od chwili, gdy spotkali się z Whistlerem po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Wydawało się, że to wieczność.



## ROZDZIAŁ 3

### I

Upływało babie lato, długi, gorący i suchy okres trwający aż do września, niezwykle rzadki fenomen na tej najbardziej wysuniętej na północ wyspie Hebrydów Zewnętrznych. Wyspa Lewis, ostatni północno-zachodni przyczółek Europy, była spalona na brąz przez miesiące letniego słońca i tygodnie bez kropli deszczu. Ta pogoda wciąż się utrzymywała.

Tamtego dnia Fin potrzebował prawie dwóch godzin, żeby dojechać wzdłuż wybrzeża z Ness do Uig. Nawet z daleka, z Siadar na północy, widział góry wyrastające na południowym zachodzie i ciągnące się do Harris, ciemny i posępny fiolet na tle najbledszego błękitu nieba. Było to jedyne miejsce na horyzoncie, gdzie wciąż zalegały chmury. Nie zwiastowały niczego groźnego, po prostu były, żeglując między wierzchołkami. Pośród paproci rosły żółte kwiaty dzikiego pięciornika — złoty akcent w krajobrazie, gdzie nawet wrzos był pozbawiony wszelkiego koloru. Drobne płatki pochylały się i skłaniały

w narastającym wietrze, który napływał od wybrzeża, niosąc ze sobą zapach oceanu i odległe tchnienie zimy.

W pierwszym dniu swego nowego życia Fin rozmyślał o tym, jak bardzo się zmieniło w niespełna półtora roku. Wcześniej był żonaty, miał syna, mieszkanie w Edynburgu, pracę detektywa w wydziale kryminalno-dochodzeniowym. I nic z tego nie pozostało. Wrócił do łona, na rodzinną wyspę, ale nie był pewien dlaczego. Może szukał tego kogoś, kim był niegdyś. Wiedział z całą pewnością tylko jedno: zmiana była nieodwracalna i zaczęła się tamtego dnia, gdy jakiś kierowca odebrał na edynburskiej ulicy życie jego synkowi i nie zatrzymał się.

Objechawszy zabłoconym suzuki kraniec jeziora Ròg Beag, Fin skręcił z jednopasmowej drogi na szutrowy trakt. Minał stado wysokogórskiego bydła z długimi, zakręconymi rogami i włochatą brązową sierścią, a następnie ruszył wzdłuż strumienia, w stronę małego jeziora, gdzie, co niezwykle, pod osłoną wzgórz rosły drzewa, a w ich cieniu kryło się Suaineabhal Lodge.

Upłynęło sporo czasu, od kiedy Fin widział po raz ostatni Kenny'ego Johna Macleana. Wielki Kenny opuścił niegdyś wyspę tak jak inni, ale jego życie potoczyło się całkiem inaczej. Mieszkał teraz w dawnym domu gospodarskim, rozbudowanym i unowocześnionym; dom ten stał po drugiej stronie ścieżki, naprzeciwko domku myśliwskiego. Kiedy Fin podjechał na parking, z krytej blachą stodoły wypadła sfora szczekających psów. Domek myśliwski znajdował się na terenie dawnego gospodarstwa i gdy John Wooldridge zakupił Red River Estate, rozbudował go z boku i od tyłu, z przodu zaś kazał postawić

oszkloną werandę z widokiem na jezioro. W przeciwieństwie do Cracabhal Lodge na krańcu jeziora Tamnabhaigh, siedziby mogącej pomieścić w sezonie ponad dwadzieścia osób, Suaineabhal miała tylko kilka pokoi zarezerwowanych wyłącznie dla wędkarzy. Był tam jednak bar i o tej porze roku zbierali się w nim amatorzy połowu i myśliwi, a także miejscowi spragnieni piwa i whisky.

Tego ranka nie było tam żywego ducha, dopóki nie zjawił się Kenny, który nadszedł od strony jeziora i uciszył ujadające psy. Wystraszone reprimendą swego pana, zadowolili się obwąchiwaniem Fina z bezgłówną ciekawością; wdychały jego nieznanym zapachy w słońcu, które tworzyło wokół nich kałuże blasku. Kenny miał na sobie gumowce, bryczesy i kamizelkę z licznymi kieszeniami, włożoną na zielony wojskowy sweter ze skórzanymi łatami na ramionach i łokciach. Zbliżając się, zdjął czapkę i odsłonił krótko ostrzyżone rude włosy, które traciły z wolna swój kolor, po czym wyciągnął dużą zrogowaciałą dłoń i uściśnął Finowi rękę.

— Kopę lat, Fin.

Choć przez większość dnia posługiwał się angielskim, w obecności Fina przeszedł bezwiednie na gaelicki. Był to język ich dzieciństwa, pierwsza mowa, jaką obaj opowiedzieli w sposób naturalny.

— Dobrze cię widzieć, Kenny — odparł Fin szczerze.

Stali przez chwilę, patrząc na siebie i oceniając zmiany spowodowane przez upływ czasu. Czterocentymetrowa blizna na lewym policzku Kenny'ego, pozostałość po jakimś wypadku z lat dzieciństwa, w którym niemal stracił oko, zbladła. Kenny zawsze był dużym chłopakiem,

większym od Fina. Teraz wydawał się ogromny, jakby wypełniał sobą całą przestrzeń w polu widzenia. I sprawiał też wrażenie starszego niż Fin. Z drugiej strony zawsze był staroświecki, niczym człowiek wycięty topornie z miejscowego materiału i niezbyt wyrafinowany, choć dostatecznie bystry, by ukończyć college rolniczy w Inverness i wrócić na wyspę, gdzie zajął się nadzorowaniem posiadłości, w której dorastał.

Fin, sam nie ułomek, zachował chłopięcą figurę, a jego kręcone włosy wciąż rosły bujnie; zielone oczy dostrzegły ukryte znużenie w mrocznym spojrzeniu starego przyjaciela.

— Słyszałem, że zeszlście się z Marsaili — powiedział Kenny. — Mówią, że mieszkacie razem.

Fin skinął głową.

— Dopóki nie skończę odnawiać domu rodziców.

— I że jej chłopak jest twój, nie Artaira.

— Tak gadają?

— Tak słyszę.

— Mnóstwo słyszysz, jak widać.

Kenny uśmiechnął się szeroko.

— Trzymam ucho przy ziemi.

Fin też się uśmiechnął.

— Uważaj, Kenny, bo je sobie pobrudzisz, a wtedy nie będziesz słyszał tak dobrze.

Kenny parsknął śmiechem.

— Zawsze byłeś cwany sukinsynem, Macleod. — Wahał się przez chwilę; jego uśmiech zniknął jak blask słońca za przepływającą chmurą. — Słyszałem też, że straciłeś syna.